

„O Polska kraino! Gdyby ci rodacy,

Co za ciebie giną, wzięli się do pracy”.

Tak pisał Wincenty Pol po postanieniu listopadowym. Polacy w dziewiętnastym i dwudziestym wieku ginęli, gdzie tylko się dało i za co się dało. Najczęściej ginęli niepotrzebnie, a ich krwią paśli się inni. Poległym stawiano pomniki, ale rzadko dawano chleb sierotom po nich.

Jednak większość Polaków żyła inaczej. Pracowali, utrzymywali swoje rodziny, karmili sieroty po poległych i czekali, żeby walki się skończyły, żeby nie palono ich domów i nie kradziono im kur. To oni tworzyli naród, choć przemijały państwa i ustroje.

Franek początek pierwszej wojny światowej pamiętał jak przez mgłę, bo wtedy ledwie dorósł do pania krów. Zresztą ani na jego pastwisku, ani nawet w całej parafii żadnej wojny nie było. Owszem, starci rozmawiali o niej, ale i oni za wiele nie wiedzieli.

Którejś jesieni nadeszły wieści, że cara już nie ma i że teraz będzie komuna. Nikt nie wiedział, co to jest komuna, ale mówiono, że za komuny wszystko będzie wspólne. Gołodupcom to się spodobało i już niektórzy rozglądali się, czyje by tu gospodarstwo „uwspólnić”.

Franka rodzinie nie było to na rękę.

– Jak to? Wszystko będzie wspólne? – mruczał ojciec. – To może jeszcze i baby będą wspólne?

Niedługo potem ksiądz z ambony ogłosił, że wojna się skończyła i że teraz będzie tu Polska. Tymczasem jednak panował bałagan, bo carskiej władzy już nie było, a polska jeszcze nie nastąpiła. Zamiast niej na gościńcu pojawiły się ruskie wojska, które szły „na Warszawę”. Za nimi przyszła sowiecka władza i widmo komuny zajrzało ludziom w oczy.

Starszy o kilka lat od Franka syn sąsiadów zniknął pewnego dnia, a ludzie szeptali, że poszedł do polskiego wojska. Frankowi bardzo tym zaimponował, ale ojciec skwitował to krótko:

– Dupę bym mu strzaskał. Pole ma i roboty na nim dość. W domu powinien siedzieć.

Nie minął rok, a ruskie wojska uciekały już spod Warszawy. Potem nastąpiła polska władza.

W tym też czasie wrócił do domu Antek. Był jakiś zmieniony i wyglądało na to, że się ukrywa. Jedni ludzie szeptali, że coś gdzieś ukradł, a inni, że jest „polityczny”. Ukrywanie na nic mu się zdało, bo którejś niedzieli zadzgał go przed kościołem jakiś nieznajomy.

– A widzisz? – powiedział do Franka ojciec, komentując tamto wydarzenie. – Polityki i wojaczki mu się zachciało. Nie ma co o durnotach myśleć. Trzeba żyć, swojego pilnować i władzy się podczyniać*.

Po kilku latach nowa władza powołała Franka do wojska, które odsłużył bez kłopotów. Po wojsku ożenił się i na świat zaczęły przychodzić jego dzieci.

Z pomocą rodziny wybudował dom, a za nim przepisową sławojkę, bo tak kazała władza. Sąsiad, który sławojki nie zbudował, dostał mandat. Zaraz potem postawił ten przybytek w miejscu z drogi widocznym, zamknął drzwi na kłódkę, żeby czasem ktoś tam nie nabrudził, a cała rodzina nadal chodziła za potrzebą za stodołę.

Wszystko układało się dobrze, aż nadszedł rok 1939 i we wsi zaczęto mówić o wojnie. Niedługo potem Franek dostał wezwanie do wojska. Musiał stawić się w punkcie mobilizacyjnym, gdzie tworzony był oddział kawalerii drugiego rzutu. Franek i inni wezwani stawili się, ale nie było dla nich koni, sprzętu i uzbrojenia. Konie i wozy rekwirowano po okolicznych wsiach. Broni palnej starczyło tylko dla podoficerów, a szeregowi zostali przy szablach.

Pierwszy wojenny rozkaz kazał maszerować na pomoc Warszawie, ale wnet się okazało, że na to było już za późno. Rozkazy ciągle zmieniano i wojsko błądziło przez wiele dni, nie widząc wroga. Wróg jednak ich widział i kilka niemieckich samolotów ostrzelało bezbronną kolumnę. Frankowi kula tylko drasnęła skroń, ale kolega z sąsiedniej wsi dostał między oczy. Czy na rozkaz, czy z własnej inicjatywy, dowódca w końcu przerwał ten marsz bez celu. Broń kazał zakopać, dokumenty zniszczyć, a konie zabrać i rozjechać się do domów.

Poszedł więc Franek na wojnę pieszo, a wrócił na niezłym koniu. Nie cieszył się nim długo, bo za kilka dni przyszła Armia Czerwona i konia zarekwirowała. Rusczy założyli we wsi sielsowiet i rozpoczęli wywózki na Syberię. Wywieźli dwóch braci żony i jeszcze kilka rodzin z parafii, ale nie wywieźli księdza. Niektórzy szeptali, że ksiądz z komunistami trzymał, ale mało kto w to wierzył.

Teraz trzeba było podczyniać się Ruskim i Franek prędko tę sztukę opanował. Pędził bimber i poił nim kogo trzeba, chodził i do kościoła, i na zebrania organizowane przez sielsowiet, orał swoje morgi i utrzymywał rodzinę.

Po Ruskich przyszli Niemcy i zaraz rozstrzelali księdza – podobno za współpracę z komunistami. Nowi władcy wprowadzili nowe porządki. Policzyli wszystkie zwierzęta i worki zboża, i nic z tego nie mogło zniknąć bez ich wiedzy. Za pędzenie bimbrowa, za ubój świni lub za mielenie na domowych żarnach groziła kula w łeb lub Oświęcim. Życie stało się trudne.

Jakby tego było mało, w okolicy pojawili się różnej maści partyzanci. Nikt we wsi nie wiedział, kim byli ani kto nimi kierował. Wiedzano tylko, że przychodzili nocami, grozili bronią i zabierali, co im się spodobało. Którejś nocy nawiedzili i Frankowy dom. Zabrali resztkę słoniny i odświętną chustkę żony. Jakież było jej zdziwienie, gdy w niedzielę zobaczyła tę chustkę na głowie żony sołtysa. Taka to była partyzantka i taki sołtys.

Tamten sołtys po wojnie wydał nawet książkę, w której opisał, jak w latach okupacji ochraniał swoich sąsiadów przed Niemcami. Wiele lat później przyjechała do Franka kuzynka i przywiozła tę książkę. Zbierała też podpisy pod listem protestacyjnym, który miał być przekazany władzom, żeby te ukarały autora za pisanie nieprawdy. Franek przez noc przeczytał książkę, podpisał list, ale powiedział, że ten protest zda się na nic.

Tak i też było, bo były sołtys żył sobie spokojnie. Którejś niedzieli Franek wrócił z kościoła zdenerwowany.

– Widziałem tego sukinsyna – powiedział do żony. – Był ślub i on był wśród gości. Postarzał się i posiwiał, ale to był on. Z początku chciałem iść na milicję, ale zrezygnowałem. I tak by mu nic nie zrobili, a jeszcze kłopotu bym sobie narobił. Pies go ogryzł! – zakończył.

Niemcy chyba wiedzieli, że partyzantka częściej kury kradła, niż walczyła, bo nie bardzo się nią przejmowali. Nakazali jednak okolicznej ludności pilnować nocami torów kolejowych i meldować o pojawieniu się kogoś obcego.

Którejś nocy zakłotali do drzwi Frankowego domu kolejni partyzanci i zażądali mleka. Wyglądali podejrzanie. Mleko dostali, napili się i poszli w las. Wtedy Franek wsiadł na konia i pognął do niemieckiej wachy, żeby zameldować o tej wizycie. Niemcy wysłuchali go z uwagą i kazali wracać do domu. Nie zarządzili alarmu, a dopiero za dwa dni przyjechali z psami szukać tych partyzantów. Psy oczywiście nie podjęły tropu, Niemiec poklepał Franka po ramieniu i sprawa na tym się zakończyła.

– Od kiedy to partyzanci są ogoleni i chcą mleka – śmiał się potem Franek, opowiadając tę historię. – To byli niemieccy przebierańcy.

Koło historii obróciło się jeszcze raz i wrócili Rusczy. Znowu zorganizowali sielsowiety i zarządzili pobór do armii. Franek też musiał się stawić przed komisją, ale do wojska iść ani myślał. Stawił się więc przed komisją w towarzystwie gąsiorka bimbrowa i koszyka kiełbas. Komisja do końca dnia rozpatrywała tylko jego sprawę i uznała go za niezdolnego do służby wojskowej z powodu choroby serca.

Urzędowo chory Franek pozostał w domu i orał swoje morgi. Orał, ale wiedział, że niedługo będzie się nimi cieszył, bo nadchodziły inne porządki. Wiedział, że w przyszłości nawet bimbrowa ani kiełbasy nie narobi, bo kartofle i świnię nie będą już jego, tylko kołchozowe. Nie chciał takich porządków i – choć na-

wykły do podczyniania się władzy – ze strachem czekał jutra.

Tymczasem doszły wieści, że Hitler jest kaputt, że gdzieś tam na zachodzie będzie Polska i ziemi będzie w bród. Franek bez namysłu zdecydował się wyjechać na tzw. ziemie odzyskane. Nie mógł nawet sprzedać gospodarstwa, bo było wiadomo, że i tak pójdzie ono pod kolchoz.

Urząd przydzielił mu dwa towarowe wagony i w nie trzeba było wszystko pomieścić. Noe do arki wprowadził po parze wszystkich zwierząt, a Franek zabrał tylko konia, krowę, dwa prosiaki, kilka kur i psa. Resztę miejsca w wagonach zajęli ludzie, pasza, jedzenie, trochę sprzętów, pościel i ubrania.

Arka na szynach ruszyła i zatrzymywała się tylko na krótko w miejscach, gdzie była woda do picia. Na którymś postoju pies się zagubił i o mało co nie zgubiłaby się najstarsza córka, która pobiegła go szukać. Psa nie było, dziecko płakało, a pociąg włókł się w stronę ziem opuszczonych przez Niemców.

Tam postoje były dłuższe, a urzędnicy zachęcali do wysiadania i osiedlania się. Chodził Franek z innymi w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby znowu orać ziemię, bo inaczej żyć nie umiał. Tamtejsze wsie nie podobały mu się, bo budynki w nich były murowane, drogi brukowane, a kościoły z czerwonej cegły. Zaglądał do opustoszałych obór z kamiennymi żłobami, do stodół na betonowych podmurówkach i do domów o wielkich oknach i jasnych podłogach.

Tam, skąd przyjechał takie budynki i drogi były tylko w miastach, a takie podłogi tylko w urzędowych budynkach i na plebanii. Nie podobało mu się tu. Było za pańsko – obco.

– Poczekamy jeszcze – mówił do żony po kolejnych oględzinach. – Może dalej będzie coś lepszego.

Mijały dni i stacje, pociąg zatrzymywał się i ruszał, aż nadszedł dzień, gdy urzędnicy powiedzieli, że to już koniec jazdy.

– Jak to koniec? – zdenerwował się Franek. – To, co my teraz mamy robić?

– Wysiadać – usłyszał w odpowiedzi. – Dalej jest już Odra, a za nią Niemcy.

Poszedł Franek następnego rana dalej wzdłuż torów i znalazł samotne gospodarstwo z dużym domem, oborą, stodołą i innymi zabudowaniami. Za domem był sad i niewielkie jezioro.

– To i ryba tu jest – mruknął do siebie Franek.

Za jeziorem była łąka, a dalej zieleniło się pole obsiane jeszcze przez Niemców żytem. Dom był cały i pozostałe budynki też. Chodził po obejściu i okolicy do wieczora, a na drugi dzień poszli tam z żoną. Poszli też dalej i dotarli do nieodległego miasteczka. Żona wolałaby mieszkać w miasteczku, bo to i do kościoła i do ludzi byłoby bliżej.

– Za Bugiem chodziłaś do kościoła sześć kilometrów, a do stacji osiem – odpowiedział zły, bo mu się tamto miejsce spodobało.

Na nic się zdały sarkania żony i Frankowa arka przybiła do nowego lądu. Ziemia była tu niezła i Franek objął jej w posiadanie tyle, ile chciał.

Objął za dużo i niechcący został kułakiem, czyli takim rolnikiem, który nowej władzy był nie po myśli. Nałożono na niego podatki, szarwarki i nakazano obowiązkowe dostawy mięsa i zboża.

Cóż było robić? Trzeba było się nowej władzy podczyniać i swego pilnować, bo była rodzina do żywienia. Nowa władza przypominała trochę tę ruską z czasów wojny, więc Franek wiedział, jak z nią postępować.

Ilekcroć wioził świnie do punktu skupu żywca, zawsze pod siedzeniem miał wódkę i zagrychę.

– Cześć złodzieje! – wołał do spasionych urzędników kręcących się po placu.

– A tyś inny? – odpowiadali bez obrazy. – Co masz dla nas?

Potem biuro skupu było zamknięte przez godzinę lub dwie, a w tym czasie Frankowa świnia przybierała na wadze ze trzydzieści kilogramów i uzyskiwała najwyższą klasę jakości.

Mijały lata i zmieniali się wodzowie narodu. Przemijały czerwece, marce, grudnie i sierpnie, które mąciły w głowach Frankowym dzieciom.

– Dupy strzaskam! – słyszeli wtedy od ojca. – Jeszcze nie wiadomo, co z tego będzie. Trzeba żyć, a nie o durnotach myśleć. I uczyć się trzeba, żeby na ludzi wyjść – dodawał na koniec.

podczyniać się – podporządkowywać się. Rusycyzm używany w gwarach kresowych.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 12.03.2019 10:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.